



Obserwacja ogólniejsza: ulubionym chwytem publicystów narodowej prawicy jest doprowadzić do karykatury, a nawet absurdu poglądy przeciwników, a następnie na podstawie tego zmyślonego preparatu go ośmieszyć. Przykładem – echa hipotezy Elżbiety Janickiej o homoerotycznych relacjach Rudego i Zośki. Np. Piotr Kobalczyk („Plus Minus” z 20–21 IV) z upodobaniem przypomina prorocтво prof. Ryszarda Legutki sprzed dwóch dekad (jakoś się nie spełniło), że „doczekamy się w *Dziadach* ks. Piotra w homoparze z Konradem”, a także propozycję Marka Magierowskiego z „Do Rzeczy”, by Janicka koncert Wojskiego na rogu zinterpretowała w kontekście fallicznym.

Z kolei Mariusz Cieślak („Rzeczpospolita” z 18 IV) zapewnia: „Gdyby Janicka wzięła się za Sienkiewicza, na pewno okazałby się nie tylko rasistą [...], ale i nacjonalistą, a kto wie, może nawet faszystą”. (Podtytuł artykułu stwierdza już bezapelacyjnie: *Faszyzm w „Pustyni i puszczy”*). „Przez uprzedzenie Sienkiewicza nie znamy wątku gejowskiego w relacjach Michała Wołodyjowskiego z panem Zagłobą, a przez homofobię Mickiewicza nie wiemy nic na temat romansu łączącego w *Dziadach* Gustawa z Konradem”.

Na taka łatwiznę idą nie tylko autorzy nacjonalistycznej prawicy. Uprawia ją także Mariusz Urbanek (*Rudy, Zośka i inni nieheteronormatywni*, „Odra”, nr 5) – Jacek Soplica i Hrabia, Wołodyjowski

i Ketling, Borowiecki, Baum, Welt. Dodaje tu także bohaterów *Ferdydurke* – nieświadom tego, że tam istotnie występują motywy homoseksualne.

Kobalczyk z uznaniem przypomina w swoim artykule także twierdzenie Jana Pospieszalskiego z tygodnika „W sieci”, że „w pewnych przypadkach ktoś zadbał, żeby ocena moralna wydarzeń była podkreślana takimi słowami jak zbrodnia czy pogrom, a w innych – żeby tragiczne wydarzenia eufemistycznie powiązać z nazwami miesięcy”. Przykładem takiej manipulacji językowej według Pospieszalskiego ma być para terminów: „wydarzenia grudniowe” i „zbrodnia w Jedwabnem”. „Ów proceder – dodaje Kobalczyk – jest twórczo rozwijany przez postępowe środowiska naukowe, bo najwyraźniej nie ma takiej granicy, której nie mogłyby przekroczyć, żeby tylko rozprawić się z polskimi «antysemitami». Albo «homofobami». Albo katolikami. Albo patriotami i ich narodowymi mitami. A najlepiej ze wszystkimi naraz”.

Przykładów stosowanych w tym celu manipulacji językowych Kobalczyk nie podaje, wróćmy więc do przykładów Pospieszalskiego. Określenia typu „poznański czerwiec” czy „wydarzenia grudniowe” (a także „polski październik” czy „marzec 1968”) były używane przez różne – nawet przeciwne – strony politycznej walki, a to dlatego, że miały nazywać – trudne do wspólnego określenia – rozciągnięte w czasie wydarzenia. Niektórych określeń (np. takich jak „masakra górników”) nie można było w prasie używać ze względów cenzuralnych.

Andrzej Horubała, publicysta podobno ambitny w podobno ambitnym tygodniku „Do Rzeczy” (nr 11), atakując „Gazetę Wyborczą”, aż dwukrotnie i za każdym razem od rzeczy, nazywa jej redaktora „jąkającym się Adasiem”. Nikt widać nie pouczył Horubałę, że naigrywanie się z cudzej ułomności fizycznej to jeden z najbardziej prymitywnych i obrzydliwych chwytów polemicznych.

Dotrzymuje mu kroku prof. Ryszard Legutko („Rzeczpospolita” z 23 IV): o ekspertach polskiego biura Światowej Organizacji Zdrowia, którzy opracowali raport w sprawie edukacji, mówi: „to szkodliwi durnie”. Krytyka na poziomie pyskówki – nie po raz pierwszy to się zdarza znawcy Platona i byłemu ministrowi edukacji narodowej, który równocześnie narzeka, że „życie publiczne schamniało”. *Medice, cura te ipsum!*

Joanna Bator w artykule *Jak zostałam rewolucjonistką* („Gazeta Wyborcza” z 23–24 III) „nie bez satysfakcji – jak sama pisze – przypomina słowa Leopolda Tyrmanda na temat krytyczki komunistycznej Melanii Kierczyńskiej”: „Ludzie w wieku przydrożnych kamieni, o powierzchowności karłów i maszkar – Melania Kierczyńska, Adam Ważyk – informowali ludzi w średnim wieku i o normalnym wyglądzie o tym, co to jest spółkowanie – dojrzałe, klasowo odpowiedzialne, a nie animalistyczne, wynaturzone, amerykańsko-imperialistyczne. Ta Kierczyńska, szara eminencja czerwonej literatury, na oko koszmarny zlepek wyschłych kości i brodawek, która w życiu wypełnionym walką o socjalizm, i przy swej urodzie, kutasa widziała chyba tylko w atlasie anatomicznym, pouczyła nas, że zdrada małżeńska jest przeżytkiem kapitalizmu i zniknie w nowej erze”.

Dziwię się satysfakcji Joanny Bator. Jako jeden z ludzi także „w wieku przydrożnych kamieni” uważam, że wypowiedź Tyrmanda była chamska, głupia i nieprawdziwa. Chamska, bo chamstwem jest nagrywanie się z wyglądu ludzi, zwłaszcza starszych, i wulgarne ich obrażanie – niezależnie od tego, jak się ocenia ich działalność literacką. Głupia, bo równie dobrze można naśmiewać się z Leśmiana, który tyle pisał wierszy erotycznych, a jak wiadomo, Apollinem nie był. Nieprawdziwa, bo Kierczyńska była w starości osobą raczej tęgą, a twarz miała sympatyczną i dobrotliwą, na swój sposób ładną, wystarczy obejrzyć jej fotografię np. w tomie wierszy *Egotyki z lat wojny*. Joanna Bator miałaby może jako feministka więcej przychylności do Kierczyńskiej, gdyby wiedziała, że była ona matką, z dumą chowającą nieślubną córkę, a w r. 1924 ogłosiła tomik wierszy *Amulety* o szczęściu swego samotnego macierzyństwa.

Andrzej de Lazari w liście do redakcji „Rzeczpospolitej” (z 25 III) twierdzi stanowczo, że „dla sowieckich komunistów kategoria narodu była kategorią burżuazyjną i swoją narodowość wyrzucili oni na śmietnik”. Czyżby? Co wobec tego sądzić o doktrynie głoszonej przez Stalina o narodach socjalistycznych (*Kwestia narodowa a leninizm*)?

Moralność pani Dulskiej jest sztuką mocno osadzoną w realiach obyczajowych sprzed stulecia (nieprawdopodobna wręcz naiwność nastolatek w sprawach seksualnych, ponizanie służącej, jej bezradność i rozpacz z powodu ciąży) i wyrwać jej z tych ram niepodobna. Nie próbował tego zrobić Marcin

Wrona w spektaklu telewizyjnym z 25 III. Ale żeby być na fali, wprowadził do swego spektaklu stroje i z epoki, i dzisiejsze (dziewczęta w sukienkach po kolana), Dulskiego przy telewizorze i z „Trybuną Ludu” w ręce. Aż dziw bierze, że Dulski nie trzyma w szufladzie wibratora, a Juliasiewiczowa nie lata do spa. Na tej aktualizacji sztuka tylko traci – Dulski odbywający obowiązkowy spacer wokół stołu jest śmieszny, Dulski na stepperze – ani trochę. A swoją drogą – patrząc na Dulską (Małgorzatę Cielecką) i Felicjana (Roberta Więckiewicza), nie chce się wierzyć, że oboje sobie dawno „wybili głupoty z głowy”.

Dyskusja o sławetnym wpisie Ewy Wójciak prowadzona w programie „Tomasz Lis na żywo” (25 III) powinna być używana jako program szkoleniowy pouczający, jak dyskusji prowadzić nie należy. Uczestnicy wciąż przekrzykiwali się i mówili nie na temat, a red. Lis milczał. To samo powiedzieć trzeba o dialogu dwóch politycznych krzykaczy, Stefana Niesiołowskiego i Jacka Kurskiego, na temat uniewinniającego wyroku w procesie Sawickiej. Temat trudny, który należało powierzyć fachowym autorzytom. I tym razem Lis milczał – a może był zadowolony – wszak połajanka w telewizji podwyższa oglądalność programu...

Tomasz Terlikowski jest na pewno interesującym w swym zaciętrzewieniu fundamentalistycznym monologistą, ale do dyskusji telewizyjnych też się nie nadaje – słuchać innych dyskutantów nie umie i wciąż im przerywa potokiem swej wymowy.

W starannie opracowanym numerze „Extra” magazynu „Ale Historia” (marzec 2013) poświęconym Stalinowi, zadziwiają pierwsze słowa artykułu Adama Leszczyńskiego, w których jako datę jego siedemdziesięciolecia autor podał 21 grudnia 1948. Tymczasem jubileusz ten obchodzono rok później, bo Stalin urodził się w 1879.

Cezary Gmyz („Do Rzeczy”, nr 9) pisze, że ojcem prof. Ryszarda Terleckiego był „znany pisarz Władysław Terlecki”. W rzeczywistości ojcem jego był nie tyle pisarz, co publicysta i historyk-popularyzator Olgierd Terlecki.

Piotr Gontarczyk („Rzeczpospolita” z 26 III) zapytany, co sądzi o pomysle radnych SLD, którzy chcieli jedno z rond w Warszawie nazwać imieniem Edwarda Gierka, z oburzeniem odpowiada:

„To mniej więcej tak, jakby dzisiaj w Niemczech funkcjonowała partia nawiązująca do tradycji NSDAP i żądająca ulic Hermana Göringa lub Joachima Ribbentropa”. Śmiała to analogia. Cokolwiek by zarzucać Gierkowi, nie obciążają go zbrodnie wojenne. Ciekawe, czy Gontarczyk skarciłby także Jarosława Kaczyńskiego, który nazwał Gierka komunistycznym, ale patriotą.

Głupstwa opowiadał Daniel Olbrychski w wywiadzie dla „Wprost” (z marca). Według niego Anatol Łunaczarski był Goebbelsem Stalina i użył słów: „z tymi, którzy się z nami nie zgadzają, zrobimy tak, że się będą zgadzać”. Po pierwsze – Łunaczarski zajmował się nie partyjną propagandą, lecz literaturą i sztuką, i wykazywał w tych sprawach wiele liberalizmu, po drugie – Stalin jego rolę marginalizował, po trzecie – zmarł w r. 1933, a więc przed rozpoczęciem się wielkiej czystki w ZSRR, po czwarte – powiedział on coś zupełnie innego: „Ci, którzy są przeciwko nam, są z nami, tylko tego nie wiedzą, ale my im to uświadomimy”.

W dyskusji *Nowocześni?* („Dialog”, nr 3) Andrzej Mencwel mówi, że termin „kordon sanitarny” w znaczeniu pierwotnym, medycznym, powstał podczas epidemii cholery w Rosji bolszewickiej, przed którą to epidemią uratowała Polskę służba ratownicza zorganizowana przez Ludwika Rajchmana. Tymczasem termin ten, oczywiście pochodzenia francuskiego, jest znacznie wcześniejszy – pojawił się najpóźniej w połowie XIX w.

W tejże dyskusji Piotr Laskowski twierdzi, że Irena Krzywicka bardzo dobrze знаła stare krakowskie mieszczaństwo. Wystarczy zapoznać się z jej życiorysem, by przekonać się, że nie miała po temu okazji.

Myli się wreszcie Agata Bielik-Robson, mówiąc, że „ciepłą wodę w kranie” wymyślił „Dziennik”. To cytat z wywiadu Tuska do pisma „Wprost” z r. 2010.

Zagalopował się Sławomir Koper („Do Rzeczy”, nr 17), pisząc, że zgodność z prawem była dla Walerego Sławka „najwyższym dobrem”. Jakże można tak mówić o polityku, który podczas zamachu majowego stał bez wahania przy Piłsudskim, a później, w r. 1929, mówił: „Zdrowiej jest czasem połamać kości jednemu posłowi niż doprowadzić do konieczności użycia karabinów maszynowych”.

W związku z odejściem Jolanty Kwaśniewskiej z Kongresu Kobiet Marcin Wolski („Do Rzeczy”, nr 11) ra-

dzi „stworzenie gustownego prezydium w składzie Henryka Krzywonos, Anna Grodzka oraz Anna Komorowska”. Gdyby istniała nagroda dla publicystycznego chamstwa – Wolski byłby bezkonkurencyjnym do niej pierwszym kandydatem.

Bogusław Chrabota („Plus Minus” z 13–14 IV) pisze: „Anski. Perce. Alejchem. Szalom Asz. Durny PRL wyciął ich z polskiej świadomości skuteczniej niż naziści. Nawet Baczyńskiemu odebrano tożsamość. O Strykowski, Henie, Brzechwie mówiło się ze wstydem i po cichu, że Żydzi. Cóż to był za świat, w którym żydostwo wciąż było jak wstydliva smuga cienia? Czyż komuniści nie byli w tej sprawie spadkobiercami nazistów?”. Nie wątpię w dobre intencje autora, ale każde niemal zdanie rozmija się z faktami. „Durny PRL” nie wyciął wymienionych tu pisarzy z polskiej świadomości kulturalnej, bo poza Aszem nigdy nie byli w niej obecni. Właśnie dopiero w PRL-u pojawiły się pierwsze przekłady Szolem Alejchema i Pereca (w serii klasyków „Biblioteka Narodowa”). *Dybuk* Anskiego raz tylko był wystawiany na scenie polskiej w Łodzi w r. 1925.

Baczyńskiemu nie odebrali tożsamości politycznej decydenci, o jego żydowskim pochodzeniu można było pisać, ale pisać nie chciał nikt z polskich badaczy i krytyków, niezależnie od swej postawy politycznej. „Taka była przesądów ówczesnych władza” – nie wypadło, by wielki poeta narodowy miał matkę Żydówkę. Zmowę milczenia przerwał dopiero artykuł historyka Józefa Lewandowskiego w „Aneksie” z r. 1979.

O pochodzeniu żydowskim innych pisarzy rzeczywiście „mówiło się często ze wstydem i po cichu”, ale mówili tak nie tylko komuniści, nie życzyli sobie tego sami pisarze, znani skądinąd z odwagi cywilnej; wystarczy wymienić Herlinga Grudzińskiego, Stefana Kisielewskiego, Stanisława Lema. Dlaczego? Zapewne obawiali się, że zaszkodzi to ich popularności czy autorytetowi; być może chcieli zaoszczędzić przykrości rodzinie.

Nazywanie komunistów spadkobiercami nazistów jest w tym kontekście absurdem, choćby dlatego, że naziści nie ukrywali, lecz właśnie ujawniali żydowskie rodowody twórców kultury. Do nazistów podobni byli w tej kwestii nie komuniści, lecz raczej pisarze polskiej nacjonalistycznej prawicy – Rostworowski, Nowaczyński, Zygmunt Wasilewski, Gałczyński, odmawiający polskości Tuwimowi czy Słonimskiemu.

W tomie zbiorowym *Aparat represji wobec inteligencji w latach 1945–1956* Patryk Pieskot, omawiając stosunek państwa polskiego do nauki w pierwszym dziesięcioleciu powojennym, jako przykład obowiązującej wówczas teorii nauki cytuje fragment *Historii WKP (b)* w wydaniu z r. 1949: „materializm dialektyczny jest to światopogląd partii marksistowsko-leninowskiej”. Sporo tu nieporozumień. Po pierwsze – co oczywiste – skoro zdanie to pochodzi z *Historii WKP (b)*, to odnosi się do tej partii, a nie do PZPR. Po drugie – jest to radziecki podręcznik szkolenia partyjnego, wydany w 1938 i odtąd bez zmian wznawiany; w przekładzie polskim ukazał się po raz pierwszy w Moskwie w r. 1940. Po trzecie – cytowane zdanie, niezgrabnie przełożone, oznacza tylko, że partia marksistowsko-leninowska przyjmuje jako swój światopogląd materializm dialektyczny.

Myli się Wojciech Stanisławski („Plus Minus” z 6–7 IV), zaliczając Demiana Biednego do sowieckich „twórców ludowych”, wykreowanych przez partyjną propagandę. Owszem, Biedny (właśc. Jefim Pridworow) pochodził z rodziny chłopskiej, ale przed wojną światową studiował na wydziale filologiczno-historycznym uniwersytetu w Petersburgu i był profesjonalnym, biegłym wierszopisem, niepotrzebującym niczyjej pomocy.

Wojciech Bonowicz („Tygodnik Powszechny”, nr 15) pisze, że ze względu na śmierć w Katyniu Sebyła po wojnie skazany był na zapomnienie; pojawiał się tylko w tle wspomnień pisarzy z dwudziestolecia, także wdowy. Zapomnienia nie było, skoro w r. 1956 ukazały się jego *Wiersze wybrane*, w 1972 *Poezje wybrane*, i wreszcie w r. 1981 *Poezje zebrane*. Nie sposób też zgodzić się, że „o publikację w redagowanych przez Sebyłę pismach – «Kwadryga» i «Zet» – zabiegali wszyscy, którzy chcieli w literaturze znaczyć”. „Kwadryga” nie była organem grupy poetyckiej, „Zet” (w którym zresztą Sebyła był tylko przez pewien czas członkiem komitetu redakcyjnego) – był mało czytany pismem propagującym głównie filozofię mesjanistyczną.

„Zakodowaliśmy sobie Fredrę jako nieszkodliwego idiotę [...]. A on nie był wcale taki głupi” – mówił z okazji 60. urodzin Teatru Telewizji jeden z najinteligentniejszych polskich reżyserów Mikołaj Grabowski. Więc taka to opinia panuje w środowisku teatralnym o Fredrze? Płakać się chce.

Nakładem Wydawnictwa Literackiego w ramach wydania krytycznego *Dzieł Brzozowskiego* ukazał się tom zawierający powieści: *Pod ciężarem Boga*, *Wiry*, *Płomienie*. Liczy on 1155 stron i waży ponad kilogram. Czy nikomu w Wydawnictwie Literackim nie przyszło do głowy, że taka cegła jest arcynie wygodna i dla czytelnika, i dla badacza twórczości Brzozowskiego? Przy okazji: w *Nocie wydawcy* zdziwia szczegółowość opisu bibliograficznego kolejnych wydań *Płomieni*. Np. przy ich wznowieniu z r. 1983 czytamy, że na wewnętrznej stronie tylnej okładki wymieniono tu autorów i tytuły 10 innych powieści, które ukazały się lub miały się ukazać w serii Prometeusza Iskier. Na co komu ta wiadomość w tym miejscu? Myląca jest również informacja, że poprawiono pisownię nazwiska Nietzsche na obecnie obowiązującą Nietzsche, a Homais z Joville na Homais z Yonville. Nie są to jakieś formy współczesne, ale od początku obowiązujące. Brzozowski nie zwracał na takie pomyłki uwagi.

Według Marka Króla („W Sieci” z 15–21 IV) sentencja „Co mnie nie zabija, to mnie wzmocni” to przysłowie chińskie. Gdzie Rzym, gdzie Krym... To przecież słynne powiedzenie Nietzschego ze *Zmierzchu bożyszcz*.

„Rzeczpospolita” (z 2–3 V) chwali się, że na nią najczęściej powołują się inne media, „bo cytuje się tylko najlepszych”. Ale nie tylko – także najgorszych!

Prof. Jerzy Bralczyk („Tygodnik Powszechny”, nr 17/18) uspokaja, że można użyć słowa „fajny”, bo to stare słowo, występuje w *Panu Tadeuszu*, gdzie Jankiel mówi: „Wyuczyłem śpiewać fein moje bachurki”. Ale przecież Jankiel nie jest wzorem polszczyzny; w jego ustach „fein” to oczywisty wtręt z jidysz. Legitymizuje natomiast wyraz „fein” *Łyczakowskie tango* („Hulaj, braci, fajno”) i międzywojenna piosenka wojskowa („Bo w piechocie fajno jest”).

Nie zawsze więc można wierzyć językoznawcom. Według Katarzyny Kłosińskiej („Plus Minus” z 18–19 V) „dedykować” znaczy utworzyć coś z myślą o kimś. Nie ma zgody! Dedykować to znaczy poświęcać komuś jakiś utwór literacki czy naukowy. Kochanowski pisał *Treny* z myślą o Orszulce, ale ich jej nie dedykował.

„Tolerancja” to nie jest akceptacja innych przekonań – jak mówi Kłosińska. Akceptacja to przecież pełna zgoda, tolerancja to tylko wyrozumiałość lub dopuszczenie do istnienia czegoś, z czym

CAMERA OBSCURA

się w pełni nie zgadzamy. Np. „toleruję metodę *in vitro*, ale jej nie akceptuję”.

Na liście bestsellerów „Gazety Wyborczej” w dziale „dla dzieci i młodzieży” kilkakrotnie znalazły się powtarzanki i śpiewanki pt. *Pan Pierdziołka spadł ze stołka* (Zysk i S-ka). W księgarni są już także *Nowe fikołki pana Pierdziołka*. Słusznie, niech dziatwa od najmłodszych lat oswaja się z wytworną polszczyzną XXI wieku.

W tytule artykułu *O rankingu szkół wyższych* („Rzeczpospolita” z 9 v) głosi *Jagiellonka znowu górą*. W Warszawie nie wiedzą, że „Jagiellonka” to tylko Biblioteka Jagiellońska – nigdy Uniwersytet Jagielloński.

W numerze 16. „Sieci” (na s. 17) Kamila Baranowska oburza się (słusznie) na tych publicystów i polityków centrolewicy, którzy jak np. Niesiołowski czy Palikot „rzucają mięsem”. A na s. 51 tegoż numeru Krzysztof Masłoń przesyła Urbanowi i Passentowi, autorom recenzowanych przez siebie książek, „stosowne wyrazy ChwD”. Na s. 1 redaktor naczelny Paweł Lisicki apeluje o „minimum przyzwoitości”. No właśnie. (A może czepiam się niesłusznie? Może ChwD znaczą tu Chwała Wam, Druhowie?).

Redakcja „Sieci” (nr 20) wyjaśnia czytelniczce, że używa skrótu ZSRS, a nie ZSRR, bo taki był używany w Polsce przedwojennej. Redakcja się myli, wystarczy zajrzeć do atlasu geograficznego Romera czy *Wielkiej Geografii Powszechnej*, by znaleźć tam nazwę Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, skrótem więc było ZSRR.

Mariusz Cieślak („Rzeczpospolita” z 16 v) atakuje książkę dla nauczycieli *Lekcja równości*, że podany tam standardowy przykład homofobii instytucjonalnej w szkole to mieszane pary tańczące poloneza. Tymczasem książka twierdzi coś zupełnie innego, mianowicie, że przejawem homofobii są m.in. „bale studniówkowe, podczas których poloneza można zatańczyć jedynie z przedstawicielem płci przeciwnej” (cytat przytoczony z innego artykułu w tymże numerze „Rzeczpospolitej”). Albo więc Cieślak nie rozumie tego, co czyta, albo świadomie przekręca to, co przeczytał.

Może to i drobiazg, ale profesor Instytutu Historii PAN, jakim jest Grzegorz Kucharczyk, prostując błędy artykułu o przewrocie majowym zamiesz-

zonego w „Sieciach” („Do Rzeczy” nr 17) – nie powinien sam popełniać błędu i nazywać gen. Tadeusza Rozwadowskiego – Władysławem. Podobnie Bianka Mikołajewska, pisząc w „Gazecie Wyborczej” (z 25–26 v) o min. Rostowskim, nie powinna nazywać jego kolegi Kazimierza Żygulskiego, ministra kultury w PRL-u, imieniem Konstany. Błędy w imionach nawet bardzo znanych postaci są tak częste, że Kamerzysta chyba zrezygnuje z ich notowania.

Czesław Bielecki („Sieci”, nr 20) mówi: „W *Panu Tadeuszu* dokonuje się słodka zgoda, a w *Zemście* kłótnia nie ma końca”. Czyżby? A jakaż to komedia kończy się słowami: „Zgoda. A Bóg wtedy rękę poda”?

REDAKTOR NACZELNY
„RZECZPOSPOLITEJ”

Takimi bazgrołami podpisuje się redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” w całostronicowych ogłoszeniach reklamujących zalety tego dziennika. Widocznie uważa, że czytelnicy pamiętają jego nazwisko, więc szkoda tracić czasu i wysiłku na czytelny podpis. Ale jeżeli tak uważa, to mógłby oszczędzić jeszcze więcej czasu i pracy, podpisując się po prostu krzyżykiem.

Beata Zubowicz („Plus Minus” z 25–18 v) utrzymuje, że prof. Andrzej Romanowski w artykule swoim *Tajemnica Witolda Pileckiego* („Polityka”, nr 20) pisał, iż rotmistrz Pilecki „sypał w śledztwie”, i komentuje: „słowo «sypał» jest proste jak cep i zapada w pamięć”. Pani Zubowicz kłamie. Romanowski tego słowa nie użył.

Bronisław Baczko („Zdanie”, nr 1/2) pisze, że w latach 60. XX w. Brzozowski „przestał już być zdrajcą i agentem Ochrony”, co należy rozumieć chyba w ten sposób, że uprzednio, w czasach stalinowskich jako taki był traktowany przez reżimową naukę. Nic podobnego. O oskarżeniach tych wspomniano tylko marginesowo, nie przesądzając o ich prawdziwości. Potępiano go jako „prekursora polskiego faszyzmu” (Paweł Hoffman, Adam Schaff). Oskarżenia takie zresztą wysunął już przed wojną bynajmniej nie marksista – Ludwik Fryde (*Brzozowski jako wychowawca*).

Zaręczam, że nie uwzględniłem się na „Twórczość”, ale lektura numeru 5. nasunęła mi aż cztery uwagi.

1. W recenzji Łukasza Saturczaka z książki Jana Zielińskiego *Szkatułki Newerlego* czytamy, że dopiero powojenna Warszawa „dała mu upragnioną stagnację w rodzącej się na nowo po wojnach Warszawie”. Oczywiście powinno być „stabilizacja”. Czy to błąd drukarski, czy też autorowi pomyliły się dwa wyrazy?
2. W redakcji „Twórczości” chyba nie wie lewica, co robi prawica, skoro w tym samym numerze umieszczono dwa, częściowo się dublujące omówienia *Szkatułki Newerlego* – jedną w dziale „Wśród książek”, drugą w dziale „Noty”. W tymże dziale znajduje się szkic pt. *Czym jest redagowanie pisma?*. No właśnie.
3. Ze wspomnienia Andrzeja Sosnowskiego o poecie Kubie Koziole dowiadujemy się, że „kładał on niebywale duży nacisk na swoje pojęcie «pierdolnięcia» w poezji; prawdziwe pierdolnięcie, mówił, to takie, po którym ludzie będą myśleć i pisać całkiem inaczej. Ciekawe, czy ten termin wzbogaci język naszej krytyki literackiej.
4. Ciekawe też, czy Kozioł uznałby za „pierdolnięcie” następujący wiersz Kamila Sipowicza, opublikowany w tymże numerze „Twórczości” („Balonik krwi/ pyk, pyk/ Pączek nadęty sztyletem przecięty/ Umarł i skończył/ Poeta idiota/ Już go źli ludzie/ Włoką do błota”). Kamerzysta długo się zastanawiał, co mu ten wiersz przypomina. W końcu sobie przypomniał – utwory Sotera Rozbickiego (tego od „I tu skała, i tu skała a kozacy drała, drała”). Ale może to godna tradycja, skoro w przewodniku biobibliograficznym *Dawni pisarze polscy* czytamy: „do chwili obecnej nie ustalono, czy jego twórczość to grafomaństwo, czy świadomie stosowana poetyka deformacji i absurdów”.

Prof. Antoni Dudek wywodzi w „Plus Minus” (z 1–2 VI), że święto 11 listopada „zostało ustanowione dopiero w 1937 r., gdy po śmierci Józefa Piłsudskiego rządzący Polską obóz sanacyjny uległ dekompozycji i próbował między innymi w taki właśnie sposób ratować resztki dawnej jedności. [...] W efekcie w II RP święto to obchodzono tylko dwukrotnie, i to niemal wyłącznie z udziałem zwolenników sanacji”. Wywód to mylący. W r. 1926, po przewrocie majowym, Piłsudski, jako ówczesny Prezes Rady Ministrów, okólnikiem swym ustanowił datę 11 listopada dniem wolnym od pracy. Odtąd w dniu tym odbywały się rewie wojskowe, msze święte, ceremonie wręczania orderu *Virtuti Militari* itp. Od r. 1932 był to również dzień wolny od nauki w szko-

łach; urządzano tam uroczyste okolicznościowe akademie. Nieoficjalnie było to święto państwowe, i to uroczystości obchodzone.

Waldemar Łysiak („Do Rzeczy”, nr 10) przyznaje, że zdarzało mu się robić błędy, a zarazem deklaruje, że bardzo tego nie cierpi. Przykrość mu więc sprawi wyliczenie błędów, jakie przy pobieżnej lekturze zauważyć można w jego książce *Karawana literatury*. A więc – Mroźek nie ma na imię Stanisław (s. 44).

Sienkiewicz dostał Nagrodę Nobla nie za *Quo vadis*, lecz za swe „zasługi jako pisarza epickiego”. A drugorzędna powieść Lewisa Wallace’a *Ben Hur* nie spowodowała wówczas mody na starożytność, bo ukazała się ćwierć wieku wcześniej, w roku 1880 (s. 104).

Wierszyk Gałczyńskiego *Niedzielny spacer konfidenta* ogłoszony został przed wojną, nie odnosi się więc do czasów PRL.

Publicysta religijny, o którym mowa, to nie Tadeusz Żychniewicz, lecz Żychiewicz (s. 151). *Tak zwana XIII księga Pana Tadeusza* najpewniej nie jest utworem Fredry. Wątpliwe też jest przypisanie Boyowi *Nowoczesnej sztuki chędożenia* (s. 162).

Wierszyk Hemara *Antolek o psychoanalizie*, datowany na r. 1922, ukazał się w „Wiadomościach Literackich” z r. 1935 (s. 64).

Nikt nie flekował powieści Céline’a *Podróż do kresu nocy* jako „bezdennie głupiej” i nie ma w niej akcentów antysemitycznych (Łysiak pomylił tę powieść z pamfletem *Bagatelle pour un massacre*).

Negatywną opinię o powieści *Raz w roku w Skiroławkach*, pióra Joanny Pyszny, błędnie przypisano Marii Bujnickiej (s. 165), co zresztą autor w felietonie w „Do Rzeczy” sprostował, ale w książce nie poprawił.

Manuela Gretkowska nie była laureatką nagrody NIKE, lecz tylko była do niej w 2002 nominowana (s. 284).

W tygodniku „Do Rzeczy” (nr 22) ciekawy jest zarówno pamflet antyendecki Waldemara Łysiaka, jak i wywiad z Moniką Jaruzelską. Ale ze znajomością cytatów u nich obojga nietęgo. Łysiak przypisuje słowa „Szkalujcie, skalujcie, zawsze coś się przylepi” Fryderykowi pruskiemu. Jest to powiedzenie o genealogii greckiej, spopularyzowane w wersji łacińskiej, przytoczonej przez Francisca Bacona. Z kolei Jaruzelska mówi, że Boy napisał o tym, że w Polsce „za dużo święconej wody, za mało zwykłego mydła”. Tymczasem słowa te pochodzą z fraszki Jerzego Paczkowskiego.

„Brześć to mniej więcej tyle samo uwięzionych (ponad 5 tysięcy), ile internowano w stanie wojennym” – tak napisał Sławomir Sierakowski w „Gazecie Wyborczej” (z 5 VI). Oczywiście – omyłkowo umieścił tu Brześć zamiast Berezy Kartuskiej. Każdemu takie lapsusy w toku pisania się zdarzają. Tylko że zazwyczaj autor je poprawia, kiedy przeczyta to, co napisał. A jeśli nie autor – to redaktor kierujący określonym działem gazety. Tylko że tu należałoby użyć czasu przeszłego...

W laudacji amerykańskiego poety W. S. Merwina, który otrzymał nagrodę im. Z. Herberta, Jarosław Mikołajewski mówił („Gazeta Wyborcza” z 4 V): „Nagrodziliśmy jednego z najwspanialszych poetów naszej epoki, który przez czystość i precyzję języka, odwagę obrazowania i etyczne napięcie przesłań jest twórcą wyjątkowo bliskim patronowi nagrody. Według Merwina istnieje związek między wierszami a pełnią życia. Poezja wypływa z głębokiej wewnętrznej potrzeby artykulacji: jest ułamkiem, który próbuje dopełnić doświadczenie, uczynić je kompletnym. [...] Jego wiersze, z pozoru całkowicie jasne, kryją w sobie tajemniczą głębię, jakby zostały wyrzeźbione na pradawnej skale, na wzór rysunków w jaskiniach. Słowa zdają się unosić nad stronami. Można powiedzieć, że ten poeta przypomina starożytnego barda, szamana naszych czasów, który ma moc nazywania istoty, dramatów i urody istoty świata, a przez to – siłą słowa – nadawania mu rozumnego kształtu”.

Ładnie powiedziane. Tylko to samo można powiedzieć o bardzo wielu poetach.

Sebastian Duda („Ale Historia”, nr 21) słabo pamięta *Wesele* Wyspiańskiego, skoro pisze, że w dramacie tym Poeta próbuje uwieść wiejską dziewczynę, Marynę. Maryna to przecież dziewczyna z miasta, z „dobrego towarzystwa”, godna partnerka Poety w towarzyskim flircie, który prowadzą.

Przedziwnym językiem posługuje się Waldemar Łysiak („Do Rzeczy”, nr 18): pisze on, że Salon domaga się od Watykanu przede wszystkim „przecwelenia Kościoła”. Cóżby to miało znaczyć? Uczynić Kościół przedmiotem wykorzystania seksualnego przez Watykan? Przecież to głupawe, ordynarne brednie.

Myli się Encyklopedia Katolicka (t. XVII, 2012) informując, że twórczość publicystyczną Karola Hu-

berta Rostworowskiego wydano w zbiorze *Pisma* (Warszawa 1937). Wydanie to obejmuje tylko jego dramaty (nie wszystkie).

Joanna Lichočka („Do Rzeczy”, nr 20), porównując swego profesora Jerzego Eislera do Gajowca z *Przedwiośnia*, zadaje sobie pytanie, czy nasz Gajowiec myśli jeszcze czasem o szklanych domach. Ale o szklanych domach w *Przedwiośniu* nie Gajowiec myślał, lecz Seweryn Baryka.

W znakomitej interpretacji poematu *Ważyka Wagon* Ryszard Nycz (*Poetyka doświadczenia*, s. 317) pisze: „Rodowe nazwisko autora [Wagman], choć wcześniej zastąpione polskim przekładem [Ważyk], uderza koincydencją semantyczną (fałszywą etymologicznie) z tytułowym określeniem”. Nie sposób się z tym zgodzić. Koincydencja semantyczna między wyrazami „wagon” i nazwiskiem „Wag(en)man” jest rzeczywista, bo nazwisko takie znaczy „człowiek wagonowy”. Natomiast jeśli uznać, że pseudonim „Ważyk” był pomyślany jako swoisty przekład nazwiska Wagman – byłby to przekład ewidentnie mylny (waga to po niemiecku nie „Wage”, lecz „Waage”).

W eseju *Żubr – opis wspólnoty* („Sieci” nr 23) o poemacie Mikołaja Hussowskiego z XVI w. *Pieśni o żubrze* Krzysztof Koehler umieszcza zwrot *Ecce bisontis*. Bisontis to dopełniacz wyrazu bison – żubr, więc wyrażenie jest ułomne – znaczyłoby „Oto bizona”. Dalej ten sam błąd, autor skraca tytuł utworu słowem „Carmen... de bisontis”, znowu bezsensownie, bo znaczyłoby to „Pieśń... o bizona”. Tytuł oryginału jest dłuższy, forma „bisontis” występuje w nim poprawnie, jako przydawka dopełniacza w konstrukcji „Carmen de... venatione bisontis” (Pieśń o polowaniu na żubra). Najwidoczniej autorowi nie są znane podstawy gramatyki łacińskiej. Krzysztof Koehler, skądinąd poeta, jest równocześnie profesorem na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego i specjalizuje się w literaturze staropolskiej.

„Dyrektor Kruk gratulował profesor Lis”. „W roli rektora krytykował Baran minister nauk Wilk” (w sensie panią minister Wilk). Oto przykład do jakich dwuznaczności prowadzi nieodmienna forma męska nazw zawodów i funkcji w odniesieniu do kobiet.

Ukazała się cenna antologia *Tango leż śpiewajcie Muzy* – antologia wierszy pisanych przez Żydów w czasie

wojny, opracowana przez Bożenę Keff. W przedmowie pisze ona, że są to utwory autorów niebędących poetami ani literatami, znajdujące się w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, przy czym o autorach wiadomo tyle, ile zanotowano na rękopisach tych utworów zaraz po wojnie. Wszystko to jest nieścisle. Wśród autorów tych wierszy znajdują się Józef Bau, Natan Gross, Halina Nelken, Artur Tur – wszyscy oni przeżyli wojnę i życiorysy ich są znane. Dodać należy Henryka Voglera, który figuruje tu jako Henryk Wogler (!) – zamieszczone wiersze opublikował on w broszurce *Przechadzki ze śmiercią* w Krakowie w r. 1989 w nakładzie 250 egzemplarzy. Znalazł się w tej antologii także wiersz *Dziki poeta* Uri Cwi Grinberga. Bożena Keff nie wie widać, że był to znakomity poeta piszący w języku żydowskim i hebrajskim, pochodzący z Polski, tyle tylko, że emigrował do Palestyny w r. 1923...

„Gdyby nie było śmierci, życie nie wydawałoby się nam tak piękne” – tymi słowami Gogoła pociesza niemal codziennie „Gazeta Wyborcza” tych, którzy umieszczają w niej nekrologi swoich bliskich. Zależy, poczucie taktu wyborne.

„Stronę partyjną już wtedy [tzn. za czasów „drugiego Gomułki”, tj. w latach 1956–1970] reprezentowali pisarze z ostatniej ławki; bardziej znani, choć też drugorzędni, byli bodaj dwaj tylko: Putrament i Bratny. Tym się ówczesna sytuacja różniła od tej o kilka lat wcześniejszej – Leon Kruczkowski był ortodoksyjnym komunistą, jednym z gorliwych realizatorów stalinowskiej polityki kulturalnej, nie można jednak zaprzeczyć, że napisał co najmniej dwa wybitne, liczące się utwory: w okresie międzywojennym powieść *Kordian i cham*, którą poważnie potraktował Karol Irzykowski, a tuż po wojnie dramat *Niemcy*”.

Tak pisze Michał Głowiński („Pamiętnik Literacki” 2013, nr 1, s. 234). Chciałbym się ze znakomitym kolegą trochę pospieszać. Najpierw: Kruczkowski nie zawsze był ortodoksyjnym komunistą (w okresie międzywojennym należał do PPS, co więcej, w „Krakowskim Kurierze Wieczornym” ogłosił artykuł potępiający procesy moskiewskie), w PRL-u firmował ówczesną politykę kulturalną, ale jego ostatnie dramaty – *Pierwszy dzień wolności* i *Śmierć gubernatora* dalekie były od norm socrealizmu. I chyba nie trzeba aż autorytetu Irzykowskiego (który zresztą często się mylił w swych ocenach krytycznych), by przyznać, że *Kordian i cham* był wydarzeniem wybitnym w ówczesnej literaturze?

Nie było też tak, że za „drugiego Gomułki” stronę partyjną reprezentowali pisarze z ostatniej ławki; bardziej znani, choć też drugorzędni byli bodaj tylko dwaj: Putrament i Bratny”. A gdzie Broniewski, Newerly, Tadeusz Nowak, Kapuściński, Czeszko, a także Strykowski, Kazimierz Brandys, Kołakowski, Szymborska, którzy przestali być członkami partii dopiero w 1966 r., a więc u schyłku rządów Gomułki. Co prawda, byli oni w większości politycznie bierni albo uprawiali partyjną opozycję, ale jednak do partii należeli.

Autorowi jakby trudno było się pogodzić z myślą, że można było wówczas być komunistą i zarazem wybitnym pisarzem, choć przecież tworzyli wówczas Brecht, Aragon, Eluard, Neruda.

Trudno się domyślić, dlaczego prof. Jana Hartmana w wywiadzie dla portalu *Medexpress.pl* (czerwiec 2013) tak okropnie zirytował fragment przyrzeczenia lekarskiego: „Przyjmuję z szacunkiem i wdzięcznością dla moich Mistrzów nadany mi tytuł lekarza”. Według Hartmana znaczy to, że „nie wystarczy mieć w czasie studiów zwykłych, choćby bardzo dobrych nauczycieli, zawód dostępny jest wyłącznie dla tych, którzy mieli szczęście uczyć się u Mistrzów”. I to ma być dowód, że świat lekarski to feudalna kraina bufonady i hipokryzji. Z całym szacunkiem dla prof. Hartmana – czepia się on tu tekstu przyrzeczenia bez sensu. Wszak „mistrz” znaczy tu tylko – pedagog, któremu student wiele zawdzięcza i który stał się dla niego wzorem.

Pisze Łukasz Warzecha: „Cześć, Broniek. Ciebie, jak widzę, też pokręciło?”

Oj, Donek, zaraz tam pokręciło. Takie tam... małe zwichnięcie. Ty, widzę, porządnie oberwałeś. Ho, ho!

Przesadzasz, nic wielkiego.

Nic wielkiego? A podobno busikiem cię teraz wożą, bo ci się kulas do limuzyny nie mieści. Powiedz no, Donuś, kto ci tak przykopał?

Oj tam, nikt, Bronuś, nikt.

Nikt? Znaczący ty, taki znakomity zawodnik, sam sobie kulasa rozwaliłeś? Oj, oj, Donuś, to już naprawdę kiepsciutko z tobą.

Ja przynajmniej, jak idę po równym, to sobie nogi bez powodu nie skręcam. Chyba że to nie było po równym, tylko w lesie, na polowanku. Może w jakieś wnyki wlałeś?

A wiesz, co ja słyszałem? Że postanowiłeś za-

grać z Grześkiem i to on cię urządził. I jeszcze potem korkiem poprawił.

Ja ci się spowiadać nie muszę. Idź sobie tam zdrowieć pod tym swoim żyrandolem, wszystkiego dobrego, Bronuś. Żeby ci szybko nóżka wydobrzała.

Wzajemnie, Donuś, żebyś szybko do sprawności wrócił. A dla kurażu sondaże sobie poczytaj”.

Oto przykład szampańskiego humoru, jakim raczy czytelników „odważny tygodnik młodej Polski” „Sieci” (nr 25). Ma się wrażenie, że to przedruk z „Kolców” sprzed stu laty. Ale wtedy przynajmniej nie publikowano takiego chamstwa, jakim popisuje się w tymże numerze „Sieci” Dorota Łosiewicz: „Ruch Palikota opuścił kolejny poseł, a właściwie posłanka. To już czwarta ucieczka z RP. Jak tak dalej pójdzie, Palikot będzie musiał przemianować swoją partię na Bezruch Palikota. Jakby co, Anna Grodzka na pewno bezinteresownie swojego szefa pocieszy”. Redaktor takiego czasopisma humorystyczne ryzykowałby, że dostanie w pysk.

Piotr Sarzyński pisze w „Polityce” (nr 26), że „nad *Bitwą pod Grunwaldem* znęcali się solidarnie Bolesław Prus, Aleksander Świętochowski, Tadeusz Boy-Żeleński czy Karol Irzykowski. Niezły sojusz”. Pamięć jest zawodna, ale nie przypominam sobie, by ktokolwiek z wymienionych tu autorów krytykował ten obraz Matejki – poza wzmianką Prusa w *Lalce*. Dalej wymienia Sarzyński Stanisława Lacka, nazywając go poetą. Lack nie napisał ani jednego wiersza, był krytykiem literackim.

Tadeusz Sobolewski („Gazeta Wyborcza” z 2 VII) pisze o „płaskim racjonalistycznym ateizmie Boya-Żeleńskiego”. Bezpodstawnie – w całym pisarstwie Boya nie znajdziemy ani jednego zdania, które byłoby deklaracją jego ateizmu.

Co najmniej dziwi gloryfikacja „cywilizacji sarmackiej”, o której pisze Rafał Ziemkiewicz („Plus Minus” z 6–7 VII), że była to „unikalna cywilizacja oparta na prawach obywatelskich, równości i wolności”. Czyżby nie wiedział, że te prawa obywatelskie przysługiwały tylko szlachcie, stanowiącej w XVIII w. maksimum 10% ludności, że nawet w obrębie stanu szlacheckiego równość była fikcją, że pańszczyźniany chłop z wolności nie korzystał.

Maria Makaruk (*Antoni Edward Odyniec*, s. 43) twierdzi, że autorem metafory o „bluszczowatości” jakiegoś poety wobec swego wielkiego poprzedni-

ka był Seweryn Goszczyński. Ale Goszczyński pisał nie o „bluszczu”, lecz o „powoju”. „Bluszczowatość” wprowadził dopiero Stanisław Tarnowski, pisząc o Słowackim.

Andrzej Dobosz pisze w felietonie *Polska Ludowa przed stalinizmem* („Plus Minus” z 13–14 VII), że w tym okresie, tj. w latach 1945–1948 istniał „zaciekle opór chłopów wobec kolektywizacji”. Żadnego oporu nigdy nie było, bo decyzję o kolektywizacji podjęto dopiero w czerwcu 1948 r.

Słusznie Prokuratura Okręgowa w Warszawie, w imię wolności słowa, umorzyła śledztwo w sprawie antysemitycznych wypowiedzi prof. Jasiewicza. Ale zdumiewa uzasadnienie tej decyzji. Według rzecznika prokuratury, Dariusza Ślepokury, np. zdanie „Szkoda czasu na dialog z Żydami” jest wypowiedzią naukową będącą rezultatem badań prof. Jasiewicza, a jego zdanie „Na Holocaust pracowały przez wieki całe pokolenia Żydów” odnosi się do tylko do „poszczególnych osób narodowości żydowskiej, które odcisnęły piętno w historii swoim działaniem, a nie o narodzie żydowskim jako takim”. Parafrazując klasyka: rzecznik rżnie głupa.

Roztargniony Ludwik Stomma („Przegląd”, nr 28) przypomina hasło z r. 1938 słowami „Wodzu, prowadź nas na Wilno!”. A przecież to nonsens – Wilno należało wtedy do Polski. Hasło głosiło co innego: „Wodzu, prowadź nas na Kowno!”.

Z wielką pewnością siebie Stanisław Srokowski („Rzeczpospolita” z 10 VII) określa jako „androny” nazywanie Wołynia „ziemiami ukraińskimi”, skoro tereny te po r. 1918 wróciły do macierzy. „A co do pacyfikacji to warto sobie przypomnieć – pisze – konstytucję marcową z r. 1921, artykuł 95, który gwarantuje wszystkim mniejszościom etnicznym takie same prawa”. Artykuł 95 wiele gwarantował, a w r. 1930 wsie ukraińskie pacyfikowano, w r. 1938 burzono i palono cerkwie na Chełmszczyźnie i Podlasiu, przez cały czas na różny sposób dyskryminowano Żydów. Tego Srokowski nie wie albo nie chce wiedzieć.

Pałając świętym gniewem Elżbieta Morawiec („Arcana”, nr 111) postuluje utworzenie *Listy infamii kultury polskiej* i umieszczenie tam na czołowych miejscach Krystyny Janickiej i prof. Andrzeja Romanowskiego. Janicką za jej hipotezę, że Rudy i Zośka

byli homoseksualistami i twierdzenie, że AK była bandą antysemitów. Romanowskiego dlatego, że oskarżył rotmistrza Pileckiego o „sypanie” Polaków (nie o „rzekome sypanie” Polaków, bo to byłoby bez sensu). Morawiec zmyśla, bo ani Janicka o AK, ani Romanowski o Pileckim tak nie pisali. A jeśli autorka uważa, że hipoteza o homoseksualizmie to podeptanie świętości w złowrogim zamysle modernizacji Polski, to ujawnia tym tylko jak zaślepią jest swoją homofobią.

Zmyśla również w tymże numerze „Arcan” Jerzy Szczęsny (s. 161), twierdząc, że Janicka zarzuca Aleksandrowi Kamińskiemu ukryty antysemityzm. Nieprawda. Janicka powiedziała tylko, że Kamiński, sam należący do „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”, pisząc *Kamienie na szaniec*, liczył się z antysemityzmem odbiorców swej książki. Nigdy też nie twierdziła, że powodem akcji pod Arsenalem była „seksualna preferencja Bytnara i Zawadzkiego”.

A przy sposobności: atakowano Janicką za to, że bez dowodów mówiła o ONR-owskiej atmosferze w gimnazjum Stefana Batorego. Tymczasem dowody na to są w książce Wojciecha Jerzego Muszyńskiego *Duch młodych* (Wydawnictwo IPN, Warszawa 2011). Autor pisze, że do najsilniejszych grup szkolnych ONR należała grupa gimnazjum Stefana Batorego (s. 120). Nazywano ich „chuliganami endeckimi”. Wśród nich wymieniany jest Bytnar. Ale z drugiej strony w początkach okupacji drużyna Bytnara współpracowała z lewicową organizacją PLAN, a Zawadzki prowadził rozmowy z podziemnym PPS w sprawie kształcenia wojskowego.

W tym samym artykule (s. 164) pada postulat, by hasło „Witold Pilecki” do Polskiego Słownika Biograficznego zredagowali Jan Żaryn i Tadeusz Płużański. Sęk w tym, że PSB umieścił już życiorys Pileckiego w t. 26 (1981); autorem był Henryk Świebocki.

Eliza Olczyk („Rzeczpospolita” z 20–21 VII) nazywa Kazimierza Ujazdowskiego twórcą pojęcia „polityka historyczna”, czemu on nie zaprzecza. Tymczasem pojęcie to pojawiło się w RFN już w ok. r. 1986.

Filip Bajon opowiada („Gazeta Wyborcza” z 22 VII) o niezrealizowanym scenariuszu filmu o Mickiewiczu, napisanym przez niego w latach 70. Miał on ukazywać podróż Mickiewicza z Domeyką i Odyńcem z Rosji do Paryża, w czasie której poeta w Dreź-

nie „walnął *Dziady*”. Błąd historyczny siedziałby w takim filmie na błędzie. Bo Mickiewicz niejechał wtedy (w r. 1830) do Paryża, lecz przez Niemcy do Włoch, Domeyko w tym czasie brał udział w powstaniu listopadowym, a III część *Dziadów* powstała w Dreźnie w dwa lata później.

Michał Matys („Ale Historia”, nr 28) tłumaczy, że dziewiętnastowieczne określenie „artykuły korzenne” oznacza „przędzę bawełnianą”. Przecież to bzdura: artykuły korzenne to substancje aromatyczne używane jako przyprawy do potraw lub leków.

O. Maciej Biskup („Newsweek”, nr 30), powołując się na kardynała Lustigera, przypomina fragment Ewangelii św. Mateusza o „Madame Zebedee”. Zapewne pod wpływem lektury Lustigera ta Izraelitka czasów biblijnych otrzymała tu tytuł „Madame”. Ale w Ewangelii (20, 20–23) jest ona bezimienna, mowa tu tylko o tym, że jest ona „matką synów Zebedeusza”.

Zbigniew Girzyński („Plus Minus” z 27–28 VII) twierdzi, że po śmierci ks. Józefa Poniatowskiego uznawano go za „największego polskiego dowódcę wojskowego w historii”. Rankingu wówczas nie przeprowadzono, ale wszystko przemawia za tym, że wyżej stawiano Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego, a przede wszystkim króla Jana III. Mylące jest również sformułowanie, że ks. Józef replikował ofertom cara Aleksandra, by przejść na jego stronę słowami: „Bóg mi podarował honor Polaków i Bogu go tylko oddam”. Słowa te padły (o ile są w ogóle autentyczne) w czasie bitwy pod Lipskiem w październiku 1813, a propozycja cara pochodzi z kwietnia tego roku.

Mariusz Urbanek („Nowe Książki”, nr 7) mówi, że Tuwim „dobrze czuł się tylko z ludźmi takimi, jak Lechoń czy Słonimski, wywodzącymi się z rodzin zasymilowanych”. Specjalista od biografii postaci międzywojennych powinien jednak wiedzieć, że Leszek Serafinowicz żydowskich korzeni nie miał.

„To koleś, który w dalszym ciągu robi najbardziej pojechane rzeczy” – mówi reżyser młodego pokolenia, Krzysztof Garbaczewski, o Krystianie Lupie („Newsweek”, nr 31). I trzeba się z tym pogodzić.

„Trzeba zrozumieć, że Żyd, który zostawał komunistą, przestawał być Żydem” – poucza Aleksander Rozenfeld („Plus Minus” z 3–4 VII) w zwią-

CAMERA OBSCURA

ku z oskarżeniem Żydów współodpowiedzialnością za stalinizm. Teza to nie przez niego zresztą wymyślona, oczywiście jest nieprawdziwa. W sowieckich komitetach partyjnych do r. 1930 istniały osobne „sekcje żydowskie”, działały do r. 1948 liczne oficjalnie popierane żydowskie szkoły, wydawnictwa, gazety, teatry itd. Zresztą etnicznie traktowaną narodowość żydowską urzędy wpisywały każdemu do paszportu (dowodu osobistego), bez względu na jego własną autoidentyfikację narodową.

Dziwi wypowiedź min. Bogdana Zdrojewskiego („Rzeczpospolita” z 2 VIII), że kategoria „ziem odzyskanych”, „ziem zachodnich” została wymyślona w PRL z powodów czysto propagandowych. Przecież jakoś trzeba było nazwać terytoria przyznane Polsce na mocy konferencji poczdamskiej, a nie należące do niej przed wojną. Notabene nazwa „ziemie odzyskane” użyta została w dekreście prezydenta RP po zajęciu Zaolzia w r. 1938.

Władysław Bartoszewski („Gazeta Wyborcza” z 31 VII) broniąc powstania warszawskiego argumentuje, że „powstania Żydów w Warszawie czy Białymstoku też nie mogły się udać, a jednak je cenimy”. Argument to nieprzekonywający – powstanie warszawskie wywołane zostało z myślą o zwycięstwie, powstańcy żydowscy wiedzieli, że przegrają, podejmowali walkę tylko z myślą o godnej śmierci.

Jacek Żakowski („Gazeta Wyborcza” z 5 VIII) zanadto uwierzył swej pamięci, przypisując Marksowi zdanie „Historia się powtarza raz jako tragedia, a raz jako farsa”. Marks w *Osiemnastego brumaire’a Ludwika Bonaparte* napisał coś zupełnie innego. „Wielkie historyczne fakty i postacie występują za pierwszym razem jako tragedia, za drugim – jako farsa”.

Ma rację Krzysztof Masłoń („Do Rzeczy”, nr 28), pisząc, że Jan Emil Skiwski był wybitnym krytykiem. Ale nie ma jej, gdy kwestionuje nazywanie go polskim faszystą. Stefan Kisielewski wspomina, że w czasie okupacji Skiwski „odrodzenie świata upatrywał wyłącznie w faszyzmie”, tłumaczył, że Polska „musi stworzyć swój własny faszyzm”. Można, jak Masłoń, wierzyć Kisielewskiemu, że Skiwski wtedy na Żydów nie donosił, ale pisarzy związanych z „Wiadomościami Literackimi” nazywał „plugastwem”, „głupimi, bezczelnymi żydziakami” (Ś. p. Karol Irzykowski, „Przełom” 1945, nr 1–2). Na zakończenie Masłoń prezentuje czytelnikom jako

„historię najznakomitszą” taki oto fragment *Dzienników Irzykowskiego* z listopada 1939 r.: „Skiwski opowiada mi, że Słonimski napisał wiersz do Warszawy. Powiada w nim: kochana Warszawo, tak cię kocham, tam spędziłem młodość, tyle wspomnień – ale czemuś, Warszawo, tak szybko się poddała. Skiwski dodaje komentarz: nie ma tylu rąk w Polsce, żeby mu za to dać w mordę jak należy”. Masłoń zna również tom Słonimskiego *Alarm* i wie, że wiersza, o którym Skiwski opowiadał, poeta nigdy nie napisał. Jak nazwać takie postępowanie?

Iwona Mikołajczyk w artykule *Dialektyka obrazowania modernistycznego* („Pamiętnik Literacki” 2013, z. 2, s. 195) twierdzi, że tytuł opowiadania Żeromskiego *Rozdziobią nas kruki, wrony*, to reminiscencja Koheletowego *vanitas vanitatum*. Autorka, która w dalszym zdaniu uczenie wywodzi, że „usytuowanie zawartości semantycznej tytułu w przestrzeni metafizycznej otwartej wskazuje na organicyzm jako kierunek ucieczki przed ciężącym nad ludzkością organizmem” – nie wie, że ów tytuł Żeromskiego jest cytatem ze znanej pieśni żołnierskiej z XVI w., zaczynającej się od słów *Idzie żołnierz borem, lasem*. Od sześćdziesięciu lat można o tym przeczytać w każdej pracy o nowelach Żeromskiego.

Jakub Kowalski („Do Rzeczy”, nr 28) w związku z rzeźbą Chrystusa w Świebodzinie zauważa: „pomniki stawia się ludziom, więc w tym wypadku lepiej mówić figura, postument”. Kowalski nie wie, że postument to „cokół”, a słowo „posąg” nie przychodzi mu do głowy.

Autocamera obscura:

Pomyliłem się w „Dekadzie” (2012, nr 3/4, s. 187) pisząc, że Zbigniew Mitzner był redaktorem naczelnym „Szpilek” od chwili ich wznowienia w r. 1945. W rzeczywistości funkcję tę podjął trochę później.

Pomyliłem się także („Dekada” 2013, nr 1–2, s. 202), przypisując Waławowi Zbyszewskiemu felietony *Ryżową szcnotką* z „Prosto z mostu”. Autorem ich był jego brat, Karol. Przepraszam.

Henryk Markiewicz

Wspomnienie o zmarłym Profesorze Henryku Markiewiczu zamieścimy w następnym numerze.

Redakcja